Gwiazdy



SEBASTIAN KMIECIAK

Toruń 2026

- Jesteś tam jeszcze, druhu? - pytam po raz trzeci w ciągu ostatniej godziny. Cisza po drugiej stronie słuchawki zaczyna być coraz bardziej niepokojąca. Nie żeby dźwięk głosu mojego towarzysza miał zmienić w jakikolwiek sposób moje położenie. Ze sporym przybliżeniem wyliczyłem co i kiedy mnie czeka. Mimo to świadomość obecności drugiej żywej osoby w otaczającej mnie pustce byłaby pewnego rodzaju pocieszeniem. „Może to i koniec, ale przynajmniej nie jestem w tym sam" – myślałem w chwilach największego zwątpienia. Zmuszam się do oderwania wzroku od tablicy kontrolnej, bo ile bym się w nią wgapiał, nie zaklnę tym rzeczywistości. Radio będzie milczało. Kontrolki nie zmienią koloru na zielony. Wartości na liczniku poziomu tlenu nie zaczną się zwiększać. Nie zadzieje się tu żadna magia, a co mogłem zrobić, to zrobiłem pierwszego dnia.

Spoglądam przez przednie okno, szukając płynącego w przestrzeni pojazdu i zauważam, że od ostatniego razu zdryfował jeszcze bardziej na lewo. Kilka szybkich obliczeń i dochodzę do wniosku, że za maksymalnie cztery godziny stracę go zupełnie z pola widzenia. Zostanę sam. Mając przed sobą tylko i wyłącznie pustkę kosmosu. Ciemną i zimną. Cholera. Gdyby choć ustawiło mnie przodem do Słońca, mógłbym wtedy w ostatnich chwilach patrzeć na coś znajomego. Zamiast tego spoglądałem w nieznane. Czy tam, gdzieś przed sobą miałem granice systemu? A może przez kolejne dziesięciolecia będę dryfował w poprzek układu, by w końcu zostać złapanym przez grawitację mijanego przypadkowo obiektu. Tak czy tak, zostanę kosmicznym śmieciem. O ironio. „No nic, czas coś zjeść, póki jeszcze mogę" - mówię do własnych myśli. Zaczynam odpinać pasy, gdy radio niespodziewanie ożywa.

- Żyjesz tam jeszcze, druhu?

Zastygam w pół gestu. Puszczam uprząż i nachylam się nad mikrofonem.
- U mnie po staremu, druhu. Ale bałem się, że już się nie odezwiesz.
- Znowu straciłem przytomność – głos był słaby i cichy. – I jeszcze ta krew. Albo śpię, albo rzygam krwią. Myślę, że to już koniec.
Milczę przez kilka sekund, nie wiedząc co odpowiedzieć. Mój towarzysz to zauważył.
- Nie szukaj na siłę słów pocieszenia. Już za późno. Każdego z nas to czeka, prędzej czy później, a my wiedzieliśmy na co się piszemy. I jakie jest ryzyko – nagły atak kaszlu przerywa jego wypowiedź – Słyszysz? Chyba niewiele czasu mi zostało. To będzie nasza ostatnia rozmowa.

***

Nagły wstrząs rzuca mną o ścianę ładowni. Mam na tyle szczęścia, że uderzam barkiem. Spotkanie głowy i wzmocnionej, metalowej ściany, skończyłoby się o wiele gorzej. Szok spowodowany uderzeniem przez dobrą minutę nie dopuszcza do mnie podstawowego komunikatu – coś tu jest nie tak. Kolejną chwilę zajmuje mi przyzwyczajenie się do upiornej poświaty świateł awaryjnych. Przez szum w uszach zaczyna przebijać się jednostajne, drażniące wycie syreny awaryjnej. Biorę trzy głębokie oddechy, ale nie czuję oczekiwanego kłucia – z żebrami i mostkiem wszystko w porządku. Za to z okolic prawego barku dochodzi nieprzyjemne mrowienie. Nagły skok adrenaliny najpewniej blokuje ból, ale wiem już, że któryś z elementów składowych nie wytrzymał: albo kość, albo ścięgno. Ruszam zdrową ręką w poszukiwaniu podparcia, ale ze zdziwieniem stwierdzam, że dłoń trafia w pustkę. Rozglądam się powoli i dociera do mnie, że unoszę się w powietrzu. A skoro padł

system utrzymujący grawitację…

Trzy powolne, głębokie wdechy. Przerwa. Kolejne trzy, jeszcze wolniejsze i jeszcze głębsze. A potem rozglądam się jeszcze raz, uważniej, szukając uchwytu. Sięgam do niego zdrową ręką, łapię mocno i nadaję swojemu ciału pęd, ustawiając się równocześnie w kierunku kabiny sterowania. Lecę przez krótki korytarz by znaleźć się w pomieszczeniu przeznaczonym do obsługi statku. Szybki rzut oka na konsolę sterowania potwierdza moje przeczucia. Nie jest dobrze. Przenoszę wzrok na okno i przez moment kwestionuję rzeczywistość. Powoli, spokojnie, wszystko w odpowiedniej kolejności. Wyhamowuję swój lot, łapiąc się fotela i powoli siadam, Staram się ignorować narastający ból w uszkodzonym barku, zdrową ręką zapinam pasy i jeszcze raz spoglądam przez szybę. O nie, wzrok mnie nie mylił.

W odległości jakichś pięciu metrów przed dziobem mojego statku unosił się inny pojazd. Smukła sylwetka i mały rozmiar, czyli jednostka zwiadowcza. Oblatywacz. Ale co tu się u licha wydarzyło? Przenoszę wzrok na kontrolki, z coraz większym przerażeniem obserwuję czerwone lampki przy najważniejszych układach. Silniki manewrowe - wyłączone. Reaktor fuzyjny? Nieaktywny. Przynajmniej miernik promieniowania wciąż świeci na zielono. Gorzej ma się jednak system zasilający statek w tlen. Zaczynają drżeć mi dłonie. Wyłączam urządzenie i po chwili włączam je ponownie. Bez skutku. Kontrolka najważniejszego układu podtrzymywania życia wciąż straszy ostrą czerwienią. Dwie próby później zdaję sobie sprawę, że z poziomu systemu operacyjnego nic nie wskóram. Czeka mnie wycieczka do maszynowni. Jeśli uda mi się przywrócić uszkodzony mechanizm do życia, to mam jeszcze szansę. Niewielką, ale mam. Używając tego cienia nadziei jako motywacji zbieram

się w sobie, gotowy ruszyć na poszukiwanie odpowiedzi, gdy wypowiedziane ostro słowa zatrzymują mnie w miejscu.
- Co tu się do jasnej cholery dzieje? Kim jesteś i co robisz na mojej trasie? – z głośnika słyszę męski głos. Silny. Młody, najpewniej jego właściciel jest przed trzydziestką.
- Nazywam się… – zaczynam, ale nie mam szansy skończyć.
- Gówno mnie obchodzi jak się nazywasz. Co robisz na mojej trasie!
- Twojej trasie? – odkąd pamiętam, cała przestrzeń za Saturnem była wolną przestrzenią. – To ogromny teren. A co ty robisz na mojej trasie?
- Uderzyłeś we mnie idioto! Jesteś ślepy? – wyczuwam rosnące zdenerwowanie. W porządku, możemy z tego zrobić grę dla dwóch osób.
- A ty?! Nie patrzysz gdzie lecisz?! Nie widziałeś mnie? Leciałem na dryfie.
- Uderzyłeś mnie od spodu, idioto! – głos przeszedł w krzyk. – Co ty robiłeś na tym swoim złomie?
- Siedziałem w ładowni i sprawdzałem stan lodówek, kretynie! Nie mogłeś odbić?
- Leciałem na hamujących. Uderzyłeś mnie od spodu, idioto! – powtórzył po czym się zawahał. – Jakich lodówek? Kim ty do cholery jesteś?
- Lodówek. Do przetrzymywania lodu. Takie duże urządzenie, w którym jest zimno i można w nim dowieźć lód do kolonii. Nie skończyłeś podstawowego programu? – w ostatnie pytanie wkładam tyle jadu, ile tylko mogę.
- Jesteś śmieciarzem – nawet przez głośnik wyczuwam chłód towarzyszący tym słowom.

Śmieciarz. Słyszałem to określenie wiele razy. Wolę być nazywany niezależnym poszukiwaczem, ale dla innych nie miało to zwykle większego znaczenia. Złomiarz, śmieciarz, szubrawiec. I wiele im podobnych określeń, które często

kieruje się w stronę ludzi takich jak ja. Ale nikt nie był w stanie wyjaśnić dlaczego sposób, w jaki zarabiam na życie był poddany tak wielkiemu ostracyzmowi. Pas Kuipera zawierał tysiące obiektów i nie należał do nikogo. Wolni poszukiwacze szukali minerałów, surowców, a w najgorszym wypadku lodu, by potem sprzedać je temu, kto da więcej. Zwykle koloniom, bo rządowe kontrakty obsadzane były przez osoby z o wiele szerszymi koneksjami. Podobnie jak stanowiska Oblatywaczy.

Oblatywacze, w przeciwieństwie do nas, mieli o wiele bezpieczniejsze i prostsze zadanie – dotrzeć tam, gdzie nie dotarł nikt przed nimi. Nanieść napotkane obiekty na mapy i wrócić do bezpiecznej przystani. Tyle. I choć zarabiali na tym niemałe pieniądze, z jakiegoś powodu czuli się jak dobroduszni filantropi, pracujący dla ludzkości i jej rozwoju. A przy tym pogardzali takimi jak ja. A przecież rzadko który poszukiwacz zostawiał swoje sekrety dla siebie. Mapa Pasa została uzupełniona o wiele obiektów od momentu, w którym pierwszy niezależny statek wyruszył na poszukiwanie surowców.

Nie była to przyjemna praca. Sam lot z kolonii na Tytanie trwał ponad tydzień i w tym czasie mogło wydarzyć się naprawdę wiele. Statki, których używaliśmy, były często jednostkami konstruowanymi budżetowo, skorymi do usterek, awarii oraz wszelkiego rodzaju problemów technicznych. Ruszając w trasę, poszukiwacz nie widział, czy wróci za miesiąc, czy po kolejnych pięciu i czy koszty nie przekroczą zysków. O ile wróci w ogóle. Przestrzeń kosmiczna była miejscem pełnym niebezpieczeństw, a pojedynczy błąd mógł kosztować życie. Tylko dla Oblatywaczy niewiele to znaczyło. Byłem śmieciarzem, kosmicznym szczurem, Niczym więcej.

A teraz wszystko wskazywało na to, że piętnasty kurs może być moim ostatnim. Miałem jeszcze cień szansy, ale musiałem się spieszyć. Po co marnować czas na rozmowę z Oblatywaczem.
- Jestem kimś, kto próbuje uczciwie zarobić na życie. Tak jak i ty, kumplu. A teraz idę zobaczyć, czy mam szansę wykaraskać się z tej sytuacji.
- Nie jestem twoim kumplem, ty – ale już nie słucham. Niech sobie gada, na zdrowie. Odpinam pas i ruszam w stronę maszynowni.

***

Cztery godziny później wiem już wszystko. I nie jest to ten dobry typ wiedzy. Nie jestem w stanie naprawić żadnego najważniejszego podzespołu. Tlen skończy się po niecałych dwóch dniach. Mam jeszcze dwie awaryjne „świeczki", które dzięki reakcjom chemicznym mogą dać mi dodatkowe czterdzieści osiem godzin. Do tego butle do skafandra. Liczę wszystko w głowie i wychodzi mi, że ostatni oddech wezmę za około sto trzy godziny. Cztery i pół dnia. Jeśli wysłano z Tytana misję ratunkową, to sam przelot, z najwyższą możliwą prędkością, zajmie im pięć dni. Zakładając, że chcieliby zabrać mnie ze sobą. Nie lecieliby tu dla mnie.

Na pomoc ze strony mojego towarzysza też nie mam co liczyć. Nawet gdyby był skłonny do współpracy, to statki Oblatywaczy były typowymi jednoosobówkami. Nie jestem zbyt słusznego wzrostu, ale i tak mogłoby zabraknąć dla mnie miejsca. Mam za to silne przeczucie, że mój nowy kolega jest w tym samym położeniu co ja. Kiepskim, jeśli nie beznadziejnym. Opuszczam maszynownie, w drodze do kabiny sterowania odbijam jeszcze do ambulatorium, zmieniam opatrunek na uszkodzonej ręce i biorę kolejną

dawkę środków przeciwbólowych. Nie ma już znaczenia, czy to złamanie, czy inny rodzaj kontuzji. W zasadzie nic nie ma już znaczenia.
Biorę ze sobą rację żywnościową, wracam do kabiny i przypinam się do fotela. Przyglądam się oddalającej się powoli jednostce Oblatywacza. Zderzenie ustawiło oba statki w podobnym kierunku, choć pod różnym kątem względem hipotetycznego punktu odniesienia. Nieco inna była też prędkość dryfu. Na razie oddalamy się od siebie bardzo wolno, ale prędzej czy później stracę drugi statek z oczu. Póki mogę, chcę mu się dobrze przyjrzeć.
W porównaniu z moim ciężkim, topornym pojazdem, jednostka Oblatywacza jest piękna. Zaostrzony dziób, opływowy kształt, krótkie skrzydła po obu bokach – przypomina najlepsze ziemskie myśliwce z dawnych czasów. Obserwuję powolny lot statku i pozwalam swoim myślom uciec od obecnej sytuacji, Potrzebuję chwili spokoju, a widok powolnie sunącej maszyny, choć zwiastuje tragedię, ma pewne hipnotyczne właściwości.

***

Ze snu wybudza mnie niespodziewany dźwięk.
- Jesteś tam, kumplu?
Potrzebuję chwili by upewnić się, że już nie śpię i nie dopadają mnie żadne majaki. Radio odzywa się ponownie, a zadane pytanie brzmi tak samo. Przecieram oczy i sięgam do przełącznika mikrofonu. Co tu się dzieje?
- Jestem. Kumplu – mówię ostrożnie.
- Źle zacząłem naszą znajomość – słyszę w odpowiedzi. Serio, o co mu chodzi?
- Tak – przeciągam to słowo. – Powiedz mi co się dzieje. I bez kręcenia w rodzaju: byłem zdenerwowany, ochłonąłem, chce zacząć wszystko od początku. Nie mam na to czasu -

kończę, może i ostro, ale jestem już zmęczony tym, jak traktują mnie Oblatywacze. Cisza przeciąga się do kilkunastu sekund.
- Miałem wyciek – słyszę, a smutek i zrezygnowanie w głosie są niemal namacalne, mimo dzielącej nas odległości. Jasne. Rozumiem.
- Ile?
- Trudno powiedzieć. Nie wiem jaką dawkę przyjąłem na początku, kiedy zabezpieczenia reaktora puściły. Ale to i tak bez znaczenia, bo to cholerstwo jest w powietrzu cały czas. Dwa, może trzy dni. Tak myślę.
- I nie chcesz być sam – nie muszę pytać. Wiem
- I nie chcę być sam.
Zapada cisza. Nie jestem pewien co powinienem powiedzieć. Jak wiele z własnej sytuacji mogę ujawnić? Czy to, że zginiemy tu razem, będzie dla niego pocieszeniem czy dodatkowym ciężarem? Nie umiem tego ocenić. Nie umiem też przyznać mu, że zawaliłem i że do zderzenia doszło z mojej winy. Jeszcze nie teraz. Ale jak mogłem spodziewać się kogokolwiek w tym miejscu? Wszechświat jest taki ogromny. Ale czy to cokolwiek zmienia?

W końcu podejmuję decyzję.

- Nie będziesz. Też się stąd nigdzie nie ruszam. Mam niewiele więcej czasu, ale obaj skończymy jako dryfujące obiekty.
- Co masz na myśli? Czym oberwałeś?
- Silniki – zaczynam wymieniać. – Sztuczne ciążenie. Światła. Generator tlenu – kończę ciężko.
- Ile?
- Cztery dni. Mniej więcej. Nie wiem ile spałem.
- A „świeczki”?
- Doliczyłem. Mam tylko dwie – robię dłuższą pauzę.

– Zawsze myślałem, że jeśli już coś mnie spotka, to bliżej. Albo że od razu wyrzuci mnie w przestrzeń. Kilka sekund i po wszystkim. Tutaj? Nawet gdyby ktoś cię szukał, to nie zdążą. Za mało czasu. Planowałem kupić ze dwie kolejne, wiesz? „Świeczki". Po powrocie. Ale nie zdążyłem. A nawet jeśli, bez sprawnych silników to i tak nie ma znaczenia. Podjąłem ryzyko. Przegrałem.
- Jakie były szanse, że tak na siebie wpadniemy? Tutaj, w tak ogromnej przestrzeni? Przecież prawdopodobieństwo jest mniejsze od błędu statystycznego.
- A jednak. Mieliśmy pecha.
- Kosmicznego pecha, kumplu.
Przez dobrą minutę żaden z nas nie wypowiada ani słowa. Nie było nic do dodania. Wiedzieliśmy, ile nam zostało. Mogliśmy tylko zrobić z tym to, co najlepsze.
- Słuchaj, kumplu – przerywam ciszę. – Muszę zająć się kilkoma sprawami. Zanim będzie po wszystkim. Odezwę się.
- Jasne. Do usłyszenia, kumplu.

***

Choć z perspektywy kabiny trudno jest określić realną prędkość, mając tylko własny pojazd jako punkt odniesienia, wrażenie jest silne. Jakbyśmy płynęli przez pustą przestrzeń, powoli i dostojnie. Jest coś uspokajającego w tej obserwacji. Statek Oblatywacza jest jedynym obiektem w polu mojego widzenia, a jego obecność choć trochę niweluje poczucie odosobnienia. To, że na jego pokładzie znajduje się inny człowiek i to taki, z którym można porozmawiać, jest na swój sposób kojące. Próbuję nie myśleć o tym co będzie za kilkanaście godzin. Kiedy już zostanę zupełnie sam, jako jedyna żywa istota w promieniu wielu milionów kilometrów.

Czy podobnie czuli się rozbitkowie morscy?

Pozbawieni towarzystwa i dryfujący przez nieznane wody, wieki przed moim narodzeniem? Ich oceany musiały być dla nich równie ogromne i przytłaczające, jak przestrzeń kosmiczna jest dla mnie. I choć skala wydaje mi się nieporównywalna, to nie odnosi się ona przecież do uczuć, do strachu, osamotnienia czy przygnębienia. Niezależnie od miejsca, człowiek uświadamia sobie w pełni, że jest tylko pyłkiem, nic nie znaczącym w stosunku do wielkiego świata. To, że obok dryfował drugi taki pyłek było niezwykle cenne.
- Przepraszam towarzyszu, odpłynąłem na chwilę – wracam do rozmowy – Więc mówisz, że z zewnątrz wyglądają o wiele lepiej, niż od środka?
- Nawet nie zdajesz sobie sprawy – słyszę w odpowiedzi. – Są szybkie, fakt. Są nowoczesne. Ale przede wszystkim, są cholernie ciasne. Mam tu kabinę, krótki korytarz z wysuwanym łóżkiem, przenośną kuchnią i apteczką. I tyle. Jeśli chcę się załatwić, to zakładam skafander. Wyobraź sobie spędzić dwa tygodnie w takiej puszce. Z czego większość czasu na dalekim zasięgu, więc nawet nie możesz wyjść na zewnątrz i się rozprostować.
- To dlaczego… – nie daje mi dokończyć pytania.
- A dlaczego ludzie porzucali bezpieczne przystanie i ruszali na poszukiwanie nieznanego? Dlaczego Magellan zginał, próbując opłynąć Ziemię?
- Kto? – nigdy nie słyszałem tego nazwiska.
- Nieważne. Pionierzy, towarzyszu. Być w czymś pierwszym, zrobić coś, czego nikt inny nie zrobił. Odkryć coś nowego – jego głos wręcz ocieka ekscytacją i podnieceniem. – Czytałem o tym, od kiedy tylko nauczyłem się składać litery w słowa, a słowa w zdania. O podróżnikach, eksploratorach. Prawdziwych odkrywcach. Kiedyś wierzono, że czas pionierów przeminął, a co miało być do okrycia, zostało odkryte. Ziemia nie miała już przed nami tajemnic. A potem nasi przodkowie rozgryźli problem

podróży przez kosmos i zupełnie nowy świat stanął przed nami otworem. Jak przed tymi, którzy po raz pierwszy wypłynęli na ocean, by stanąć na obcym lądzie. Zdajesz obie sprawę jakie to uczucie? – słyszę że jego głos słabnie i za chwilę przemieni się w charkot, ale to go nie powstrzymuje. - Mogę brać w tym udział. Czym są dwa tygodnie zamknięcia w porównaniu z możliwością poznania nieznanego? Nazwać nowy obiekt swoim imieniem. A być może, pewnego dnia, przekroczę granicę układu? O ile mi wiadomo, nikt jeszcze tego nie dokonał. Takie loty to spełnienie marzeń.

- Masz tam kogoś? W domu? – nie wiem co dodać, bo tak naprawdę rozumiem doskonale uczucia o których mówi, dlatego zmieniam temat.

- Na szczęście nie. To niebezpieczny zawód. A ty?

- Też nie. Wysłałem wiadomość do rodziców. Powinni wiedzieć. Ale to tyle, nie mam nikogo bliskiego. To była świadoma decyzja. Nigdy nie wiem ile potrwa lot. Albo czy w ogóle wrócę. Wychodzi na to, że miałem rację.

- Tak, ale myślę, że tego chciałem. Niekoniecznie świadomie, ale jednak. Odejść w przestrzeni, daleko od domu, robiąc to, co kocham. Nie jak ci biedacy z Erosa, kiedy kolonia straciła szczelność. Śpisz i nagle cię nie ma. Już się nie budzisz. Nie chciałbym umrzeć we własnym łóżku.

- Ja tak – mówię w zamyśleniu. – W tym co robię tak naprawdę nie ma nic pięknego. Latam złomem, próbuję uciułać coś na życie. Zapewnić sobie jakąś przyszłość. Czasem się udawało, ale miałem dwa zupełnie puste przeloty. Ciężko w taki sposób coś zaplanować, ustatkować się. Jeśli miałbym powiedzieć co było moim marzeniem, to właśnie spokojne, stateczne życie. Uzbierać tyle, żeby móc gdzieś osiąść, bliżej centrum. Nie w tej zapyziałej dziurze na Tytanie. Może polecieć na trochę na Ziemię? – robię dłuższą

dłuższą pauzę. - Tak, chciałbym umrzeć w łóżku. A teraz umrę tu, pośrodku niczego.
Kończę i daję nam obu moment na oddech. Czuję się zmęczony, ale rozmowa pozwalała skierować myśli w inną stronę. Choć na chwilę.
- Myślisz, że coś tam jest? Po drugiej stronie? – podejmuję po krótkiej chwili.
- Nie wiem – odpowiedź przychodzi od razu. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie miałem czasu. Ale jakoś to wszystko musiało powstać. Ktoś to trzyma w kupie. A może nie? Może tak to już po prostu jest zrobione, samo z siebie i dla siebie.
- Zaśniemy i tyle? Nic więcej? – nie chcę w to wierzyć, nie tak naprawdę. Owszem, nigdy nie był religijny, ale słyszałem relacje nawróconych. Pustka i zimno przestrzeni potrafiły odmienić niejednego ateistę. - Mam nadzieję, że nie. Że to tylko nowy początek. A potem będzie lepiej.
- Tak, to dobra myśl. Może i nieprawdziwa. To jak powiedzieć śmiertelnie choremu, że wyzdrowieje. Ale zostało nam coś jeszcze? Oprócz tej pierwotnej nadziej, że to nie koniec?
- Niedługo się przekonamy.
- Jak myślisz, czy – nagły i gwałtowny kaszel przerwał wypowiadane zdanie. Oho. – Chyba się… – następuje kolejny atak kaszlu. – zaczyna. Czuję się coraz słabiej. Mięśnie mi słabną. W zasadzie czekałem już tylko na to. Nie widzisz tego, ale właśnie oplułem krwią wszystko dookoła.
- Może zrobimy sobie przerwę?
- Tak, to dobry pomysł. Spróbuję się trochę przespać. Ty też spróbuj. Dobrze nam to zrobi. Do następnego towarzyszu.
- Będę czekał – kończę rozmowę. Pozwalam sobie popatrzeć przez moment w okno, po czym odpinam pasy i ruszam w stronę łózka. Zanim zasypiam, w mojej głowie pojawia się myśl, której za nic nie mogę przegnać: ciekawe jak długo

jeszcze będę miał towarzystwo.

***

- Zawsze lubiłem tę ciszę, wiesz? – mówię do radia. I mojego druha po drugiej stronie słuchawki. – Ten moment, kiedy opuszczasz statek i robisz pierwszy krok w próżnię. Kiedy oblepia cię cisza i nie słyszysz nic, oprócz swojego ciała. Oddech, bicie serca, szum krwi. Nic ponad to. Płyniesz przez przestrzeń i z jednej strony czujesz się taki malutki, nic nie znaczący, z drugiej – jakbyś był jedyną osobą na świecie. Nie ma nikogo i niczego poza tobą. Tu i teraz jesteś najważniejszy – przerywam, a w moim umyśle pojawia się szybki przebłysk pierwszego spaceru przez próżnię.
- Rozumiem to. Też to czuję. Mówi się, że tu jest zimno, ponuro. Ciemno. Ale ta ciemność nigdy mi nie przeszkadzała. Nigdy nie czułem tego chłodu. Znam Oblatywaczy, którzy nigdy nie wyszli poza swój statek. Robili swoje i wracali do domu, a przed każdym wylotem żegnali się ze znajomymi, jakby mieli ich więcej nie zobaczyć. A dla mnie przestrzeń kosmiczna to drugi dom – jego głos jest słaby, a przerwy między zdaniami, spowodowane kaszlem, są coraz częstsze. Mimo to wiem, że chce kontynuować, więc nie przerywam. – Chciałbym powiedzieć, że nie boję się śmierci, ale tak nie jest. Z każdym atakiem zdaję sobie sprawę, że jest ona coraz bliżej. Trzy razy straciłem przytomność między naszymi rozmowami. Najgorsza jest ta niepewność. Nie wiem, kiedy mnie dopadnie. Jestem coraz słabszy, czuję to. Życie ucieka ze mnie z każdym oddechem. Może to okrutne, ale ty przynajmniej mogłeś to sobie wyliczyć. Wiesz kiedy będzie po wszystkim.
- I myślisz, że to coś ułatwia? – lekko podnoszę głos, ale nie jestem zdenerwowany, nie tak naprawdę. Spośród etapów

żałoby jestem gdzieś pomiędzy depresją, a akceptacją. – Boję się, cholernie się boję. Nie chcę umierać. A to, że znam przybliżoną godzinę wcale mnie nie uspokaja. Zasłoniłem wszystkie zegary na statku, byle tylko nie odliczać. A potem znów je odsłoniłem. Nie chcę wiedzieć, a jednocześnie chcę. Ale poczuję to. Kiedy powietrze będzie coraz rzadsze, a każdy oddech coraz trudniejszy, będę wiedział, że to już. Że mój czas się skończył.
- Wybacz. Nie tak to chciałem ująć.
- Wiem – odpowiadam uspokajająco. – Chyba obaj wolelibyśmy, żeby było już po wszystkim.
- Żałujesz czegoś?
- Nie – odpowiadam szybko, ale poświęcam dłuższą chwilę na ponowne zastanowienie. – Może stając przed szansą, zachowałbym się inaczej, ale myślę, że zrobiłbym wszystko tak samo.
- Ja też. Może wybrałbym inną trasę – jego śmiech był słaby, ale brzmiał szczerze. – Ale podobało mi się moje życie. Nie zamieniłbym go na nic innego. Szkoda tylko, że nie potrwało trochę dłużej.
- Przez cały ten czas nawet nie spytałem cię o imię.
- Nie pytaj. Zapamiętaj mnie jako oblatywacza. Ja cię zapamiętam jako poszukiwacza.
Bierze mnie to z zaskoczenia i nie wiem co powiedzieć. Od samego początku, od kiedy policzyłem czas, który mi pozostał, hamowałem łzy. Nie mam już na to siły. Ale to nie łzy smutku, których się spodziewałem. Czuję się doceniony. Pierwszy raz, tak w pełni, czuję się kimś.
- Dziękuję – tylko tyle jest w stanie przejść przez moje zaciśnięte gardło.
- Pozwól mi teraz odpocząć. Powoli odpływam. Muszę przymknąć oczy, chociaż na chwilę. Odezwę się, kiedy – zdanie urwało się w połowie. Usnął? Nie jestem pewien. Mam nadzieję, że zdążymy jeszcze porozmawiać. Choć

jeden raz.

***

- Słyszysz? Chyba niewiele czasu mi zostało. To będzie nasza ostatnia rozmowa.
Słyszę. Jak mam nie słyszeć? Przygotowywałem się na ten moment, a mimo to nie wiem co odpowiedzieć. Na szczęście nie muszę.
- Nawet nie rozmowa, po prostu daj mi mówić – kontynuuje, a ja milczę. - Rodzimy się by umrzeć. To banał, ale w tym momencie nie czuję niczego bliższego prawdzie. Nie wiem co mnie czeka dalej. Niedługo się przekonam. A jeśli po drugiej stronie coś jest, to spróbuję cię znaleźć. Pewne plemiona wierzyły podobno, że kiedy umieramy, zamieniamy się w gwiazdę. To ładna myśl. Pozwala uwierzyć, że nasza śmierć ma jakiś głębszy sens. Dookoła jest ciemno. Wszechświat to ponure miejsce, pełne czerni. Ale z każdym człowiekiem, który odszedł, staje się odrobinę jaśniejsze. Każda śmierć pozwala choć trochę rozjaśnić ten mrok, który nas otacza. Jeśli to jest mi pisane i mam kiedyś oświetlić komuś drogę, to akceptuję mój los. Jestem gotowy, druhu. Żegnaj. I dziękuję.
- Żegnaj, przyjacielu – odpowiadam cicho, przez łzy. - Do zobaczenia po drugiej stronie.
Żadna odpowiedź już nie nadeszła. Radio zamilkło i nic nie wskazywało, by odezwało się ponownie. Patrzę tępo w okno, dopóki statek oblatywacza nie znika, zniesiony poza zasięg wzroku. Daję sobie jeszcze chwilę, po czym podejmuję decyzję. Choć tak naprawdę podjąłem ją już dawno, tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nie w pełni. Zakładam skafander, z wyuczoną wprawą sprawdzam wszystkie uszczelnienia i mocowanie butli po czym kieruję się do śluzy. Chwila i jestem już na zewnątrz. Wdrapuję się

po zewnętrznej drabince na grzbiet swojego pojazdu po czym siadam, przodem do Słońca. Doczepiam linkę do poszycia, bo chcę mieć pewność, że żaden niekontrolowany ruch nie oderwie mnie od statku i nie rzuci w bezwładny lot. Patrzę przed siebie. Od centrum układu dzielą mnie jakieś cztery miliardy kilometrów. Myślę o tym i robi mi się słabo. Przez krótką chwilę czuję się najbardziej samotną i żałosną istotą w całym kosmosie. Ok, dobrze, spokojnie, wdech i wydech, chłopie. Daję sobie moment na uspokojenie, przywołując w głowie ostatnie słowa Oblatywacza. Robi mi się lepiej. Uśmiecham się. A potem rozpinam zabezpieczenia i ściągam kask.

